

PREMIUM „ZIEMI“

ARTUR GÓRSKI

DROGI DO KULTURY

W A R S Z A W A

1934

A
607.

BIBLIOTEKA ZIEMI

I

ARTUR GÓRSKI

DROGI DO KULTURY



008(438)/04

Wydawnictwo

POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO
Z ZASIĘKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ

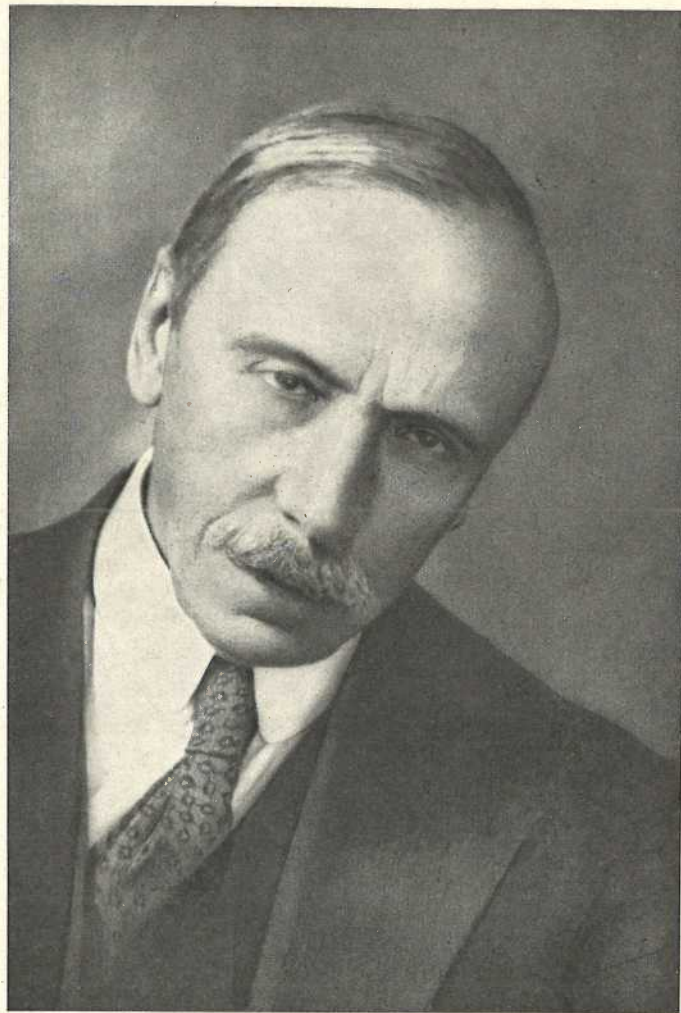
W A R S Z A W A

1934

BIBLIOTEKA
WYDZ.
ARCHITEKTURY

174

Zakł. Graf Koziańskich Warszawa Krak. Przedm. 66



Alförmig

DROGI DO KULTURY

NARESZCIE przyszedł czas, że możemy stanowić o sobie sami. Dostaliśmy lekcję od historii, jak to wygląda, kiedy o nas decydują bez nas. Lekcja trwała długo, nazbyt długo, bo przeszło sto lat, — i choć szkody narobiła wiele, miała przecież tę dobrą stronę, że zbudziła instynkt samozachowawczy narodu. Wyłynęło przed nami zagadnienie polskiego bytu, a zatem polskiej indywidualności. Indywidualność jest to ta jedność, która wciąż organizuje w całość elementy ludzkiej natury. Bez tej siły organizującej, bez tego dążenia do jedności, człowiek staje się sam dla siebie chaosem, igraszką popędów i przypadków, igraszką tem niebezpieczniejszą, im ma bogatszą naturę. To samo dotyczy i narodów.

Dążenie takie do odrodzonej indywidualności gra u nas rolę tem większą, im trudniejsze jest nasze położenie. Weszliśmy w proces kultury europejskiej wtedy, kiedy narody zachodnie przebyły już poważną część swojej drogi, wyprzedziły nas i okrzepły w swojej pracy nad sobą. Przypadło nam przeto z jednej strony zachować jedność z rodziną narodów zachodnich w zakresie religijnym i moralnym, to jest tam, gdzie chodziło o idee powszechnej wartości, o podstawy wspólnej kultury chrześcijańskiej; z drugiej strony jednak trzeba nam było dbać o to, aby nie naśladować Zachodu na ślepo, nie żyć biernie cudzą modłą, raczej brać tylko impulsy a tworzyć z własnej osnowy, z wła-

snego poczucia swego bytu. Poza tem sąsiad nasz wschodni, wychowany na bizantynizmie, zalewał nas i zalewa ideami, które mają tendencję opadu, obniżania człowieka w jego poczuciu wartości własnej zarówno na rzecz instynktów stadowych, jak i na rzecz kultury techniczno - materialnej. — Wreszcie w naszym własnym społeczeństwie mamy duży procent ludzi, niezwiązanych swą tradycją rodzinną ani z naszą kulturą, chrześcijańską w swej istocie moralnej, ani z naszym procesem dziejowym; a to także przyczynia się do zamętu. Widzimy to po naszej stolicy, Warszawie. Ogniska polskości w kulturze rozpalają się dziś raczej na prowincji, — i tu leżą wielkie zadania, jakie mają teraz do spełnienia nasze miasta dzielnicowe, wojewódzkie, prowincjonalne.

Pokuśmy się tu przeto, rodzajem próby, zdać sobie sprawę z tego, na czem polega polska modła i jak ją rozwijać da się.

Zbliżywszy się do tego zagadnienia stopniowo, od zewnątrz i od wewnątrz. Szukajmy dróg do kultury.

Kultura nie tkwi jedynie w uczoności, ani w zamożności; nie przesądza o niej wielkie miasta, wielki ruch handlowy, przemysłowy, nawet wielkie armje. Nie siedzi ona w samym mózgu, nie składa się z samych pojęć.

Kultura to człowiek cały. Jego sposób życia, jego sposób mówienia, jego stosunek do innych. Jego codzienna sfera myśli. Jego naczelne dążenia duchowe.

Nie wytwarza się ona sama przez się, potrzeba na nią pracować. A pracują na nią twórcy, imienni i bezimienni.

Pracują ci, co tworzą mowę, co kształtują dom i jego otoczenie.

Pracują rzemieślnicy. Pracują wynalazcy i odkrywcy. Pracuje na nią uczony, o ile rozwija w społeczeństwie zmysł do prawdy, bezinteresowny stosunek do zjawiska. Pracują twórcy piśmiennictwa, muzyki, plastyki.

Tworzy ją dalej bohater, który wyraża honor narodu, chroni jego wolność i cześć.

Tworzy ją prorok i święty, ten który przynosi w sobie ujęcie życia przez boskość.

Do tej pracy samorządnej we twórcach przychodzi praca celowa i planowa — wychowania. Ale to wychowanie idzie według modły, odbywa się na podobieństwo pracy twórców.

Niema dobrego wychowania, opartego jedynie na czystych abstrakcyach, na teoretycznym poznaniu świata, na ogólnie uznanych pojęciach etycznych. Tam, gdzie ono jest, pozostaje zupełnie beztwórcze, nie puszcza korzeni w duszę. Przykładem warstwa tak zwanego Mittel-Europatum, zamieszkująca na zmianę hotele Londynu, Paryża, Monachjum, Wiednia, Rzymu. Przykładem wychowanie w międzynarodowej klasowości, które również nie wytworzyło swej kultury, okazało się bez twórczych sił.

Jeżeli się przychodzi do gromady z książką w ręku, musi to być księga żywa, musi ona być czyjśm życiem. Nie można wychowywać narodu ani na zoologii, ani na ekonomji, ani na nakazach stoickich: powinneś, musisz.

Kultura jest zjawiskiem pewnego rytmu i pewnej tonacji, przemawiających zwłaszcza przez ludzi przodujących i przez wypadki naczelne. Jest to rytm uśpiony

we krwi całego narodu. Gdzie ten rytm nie jest utrzymany, tam powstaje hałas i naśladownictwo na oślep. Ale jarmark nie jest kulturą.

Wiara w wykształcenie samo może nas zawieść. Trzeba nie tylko dać dostęp do światła, ale i pokazać, dokąd z niem iść, jak go użyć. Zresztą samo światło nie stanowi kultury. Idzie się ze światłem, ale nie dla światła. Dokąd iść, tego nam światło nie powie, może nam tylko dopomódz, jak iść.

To właśnie pytanie dokąd iść stanowi środkowe zagadnienie każdej kultury. Lecz nie ona, w gruncie rzeczy, odpowiada na nie. Ona sama jest już wynikiem danej odpowiedzi; wynikiem i rozprawdzeniem na wszystkich strunach życia. Od odpowiedzi na to pytanie zależy cały stosunek danej kultury do życia. Od tego zaś jak się ten stosunek ukształtował, zależy samo ukształtowanie się narodu, jego form w życiu, w dziejach i sztuce, słowem, jego styl.

Każda kultura ma u swego początku wybuch żywiołu religijnego. Kiedy żywioł religijny danej kultury lub danego jej okresu wyczerpuje się, wyczerpuje się tem samem i kultura. Czegoż bowiem owocem jest kultura? jak się tworzy? Tworzy się ona pod działaniem dwóch sił: z jednej strony pod naciskiem rzeczywistości świata na duszę, a z drugiej strony na skutek prężności duchowej w człowieku, która tę rzeczywistość przekształca. Kiedy prężność owa ulegnie wyczerpaniu, wówczas kultura staje się w treści swojej, pod naciskiem rzeczywistości fizycznej, zmysłową albo brutalną. I wtedy przychodzi czas na przejaw nowy tegoż to żywiołu duchowego.

Niest tak, jak nas uczyły poniektóre pisane historie cywilizacji, że najpierw jakoby była wiara, a potem kultura statyczna, wreszcie pozytywna. Wszakże widzimy w dziejach, że bieg ten kultury w Europie przerywany jest od czasu do czasu wybuchem nowych przejęć religijnych, nowym jakby szturmem morza przesądzeń i wierzeń. Tak było w drugim i trzecim wieku po Chr., w pełni kultury greckiej; podobnież w wieku 16 w Europie środkowej. Tegoż samego zjawiska oczekiwać możemy i w przyszłości.

Złemu wierzeń rodzą się na początkach kultur mit i legendy. Przez nie wypowiada się wyższy sens życia, ujęty przez wyobraźnię w sposób samorządny, instynktem. Do tych samych mitów, które są niczem innym jak problematami religijnymi, wraca później wika sztuka świadomie.

Na czele życia greckiego, u jego bram, stoi mit o Heraclesie. Na tym micie kształtuje się dusza Achillesa. W nim rozkochał się naród cały, i z tych uczuć wypowiedział w Homerze. Iljada staje się odtąd wychowawcą całego plemienia; nie było to dzieło literackie, a szkoła życia. W linjach jasnych i prostych rozpoczyna się odtąd tworzenie stylu narodowego wpośród temion greckich. Jego cechą główną stanowi estetyczny stosunek do świata w życiu i myśleniu: bohaterstwo, radość z życia i tragizm. Wychowawcą Iljady jest Aleksander Wielki, idący, jak drugi Herakles, wykonywać swych dwanaście prac światowładnych.

Na Kapitolu i w Kolosseum tworzył się stosunek Rzymu do życia, stosunek władczy i ironiczny, poprzedzony przez Sybille legislatorki, pozbawiony prawie w zupełności mitów, zakończony cezaryzmem i pan-

dektami. Naród bez poezji, ale artysta; naród, którego religją była władza, a jej nakazem mistycznym — panowanie nad światem.

Można te główne cechy stylu pokazać w owie, w budownictwie, w kształcie domu, w sztuce słownej, w filozofii, w literaturze, w bohaterach, w iłach. O ileż np. dobitniej, niż w Horacym, występu siła i urok stylu rzymskiego w pandektach.

Byłoby również rzeczą pogładową porównać Bernarda z Clairvaux, św. Fraciszka z Assyżu i Luta.

Że oświata nie jest jeszcze kulturą, o tem pozajają nas Niemcy. Jakoż słowo niemieckie nie ma etąd swego wyrazu, Goethe jest daleko za Szekspirem za Dantem, jako organizator wyobraźni narodowej. To samo da się powiedzieć o ich plastyce. A jednak Niemcy wypowiedzieli się, zdołali się wypowiedzieć w suce przez — muzykę. Wybuch reformacji wydał acha, a ten utorował drogę innym. Czem się tłumaczy to zjawisko muzyki niemieckiej?

Muzyka ma to do siebie, że moralnie nie zobowzuje wprost, przez świadomość. Jak reformacja uczniła wiarę sprawą indywidualną, zostawiła jej swobodny byt i oddech ku Bogu, życie zaś oddała panowaniu praw życia i racji stanu, tak podobnie stało się z sztuką.

Kształtować życie przez muzykę usiłuje dopiero Wagner, chwytając za muzykę i słowo, nadaje jej treść rewolucyjną w stosunku do współczesnej kultury, i podważa życie pod zasłoną symbolów. To słowo dramatu muzycznego zetrzeć się musiało ze słowem uczeniem, drogi bowiem poznania przez wiedzę a przez sztukę są dotąd inne. Stąd też pochodzi, że wiedza ma

w stosunku do życia inną etykę a sztuka inną; obie dążą do zawładnięcia życiem, ale wiedza czyni to przez siłę i prawo, a sztuka przez miłość i zaufanie.

Widzimy tedy, że kultura szerzy się przez wzory, przez wielkich ludzi i wielkie wypadki w narodzie, które działają wprost na wolę, — przez naukę, która pogłębia głód prawdy w ludzkiej duszy i odsłania przed człowiekiem wielki gościniec świata, — i przez sztukę, która uszlachetnia dom, obyczaj, i budzi w duszach osąd życia przez wielki ideał. Oświata winna ku temu stanowisku poprostu podprowadzać, i zdawać sobie z tego zadania sprawę. Ma być ona narzędziem przy tworzeniu ukształcenia narodowego, ale nie celem samym w sobie.

W tem znaczeniu praca oświatowa jest sztuką. Wymaga ciągłej twórczości ze strony tych, co ją prowadzą, nie może być załatwiona szablonem, nie da się zbudzić do życia kopiowaniem.

Przechodzimy do zagadnienia naszych własnych dróg do kultury.

Wiemy już, że bez kultury niema rzetelnej jedności bytu narodowego.

Jakie są tedy tworzywa tej jedności kulturalnej u nas?

Jest nim — po pierwsze ziemia. Tę trzeba poznać, a poznaniu temu niema granic. Nie przez podręcznik geografji i przez szkło okien wagonu, ale przez obcowanie i przez sztukę. To, czego nauczy potężny strumień Wisły, płynący w blasku i ciszy, to nie da się tak łatwo zapomnieć; w chwili pewnej poczyną on płynąć przez piersi. Bo ziemia ma także swoją duszę,

i dosłowniej, niżbyśmy mniemali. Jest w tem spojrzenie w otchłań życia, że planety są stanami świadomości. Pokażcie nam piachy słoneczne ugorów i suche darnie z jałowcem; skoroświty we mgłę, rozwleczone ponad brzezinowym zagajem; rzędy wierzb podobne do morskich ukwiałów, zalane wiosenną powodzią; życie puszczy i głuszy, kiedy burza w nich miga, łomocze, a piorun ścieka po pniach; kiedy znowu stoją nieruchome nad ciemnym mokradłem, pełne drzew-starców szedziwych, omszałych jako żubry włochate; pokażcie jej życie nieba, uroczyste, osmętniałe, rozigrane, groźne, pułki chmur spiętrzone jedne nad drugie, całe ich olbrzymie Himalaje walące się we własne przepaście; pokażcie jej noce, zmierzchy, mroki, których słowo wyrazić nie w stanie; jej zimowe łomnic tatrzańskich gronostaje, niby zastęp aniołów, który zda się w oka mgnieniu zerwie się i odleci w otchłań niebieską; pokażcie krasę naszej ziemi, skupioną, powściągliwą, jakby zadumaną o czemś wiekuistym — a rozkoście w niej oczy i duszę, i oddacie ją na własność wszystkim i każdemu, w całości i w każdej bryle, w każdym krzaku glogu na miedzy.

Ziemia jako taka jest podstawą wszelkiej kultury o krzepkiem zdrowiu. Kultura oderwana od niej, czysto miejska, jest już kulturą z drugiej ręki — jakby bez korzenia. Miasto wydaje talenty; ludzie gienialni wychowywali się i wzrastali w obcowaniu z naturą. Mickiewicza wydaje małe miasto, podobnie ma się rzecz z Franciszkiem z Assyżu, z Szekspirem, Bajronem; Goethe w młodości ciągle obcuje z przyrodą. Ziemia i niebo dają nam w spokoju swoim i ogromie sprawdzić każdą myśl, każdą ideę; biorą one niejako duszę

naszą na falę wielkiego rytmu, i strącają z niej po pewnym czasie wszystkie tony, z jej wielką kadencją zgodzić się niezdolne. Ziemia oczyszcza duszę i dźwiga ją.

Lecz trzeba z tą naturą ziemi umieć prowadzić rozmowy. Jeden wschód słońca, oglądany w ogromie nieba, jest rewelacją dla duszy. Kultura oderwana od ziemi, zamknięta w murach, zapada wkrótce w wiązadła pojęć, i poczyną wędznąć. Wielka sztuka pejzażu wyrasta też przy wzroście miast, jest ona wyrazem tęsknoty za utraconem. Najpiękniejszy obraz ziemi z nad Świtezi, Pan Tadeusz, powstaje w Paryżu.

A już w największym stopniu taka znajomość ziemi własnej obowiązuje architekta. Genialny budowniczy tworzy razem z naturą i w niej. Chwyta otaczające go proporcje, i każe kamienię tym kształtom, jakie schodzą się ku niemu od drzew, liści, kwiatów, konarów, jakie leżą w geometrycznej naturze kryształów. Liczy się z rozpięciem brył swoich na tle nieba, z natężeniem światła słonecznego, z siłą wichru, z opadem deszczów, — i ujmuje to wszystko w jeden rzut, który mu podszepnął genjusz ziemi, a on resztę umiał odgadnąć w duszy swojej. Tak budują nasi budarze, nasi cieśle i budowniczo wiejszy — od Podhala do pomorskich Kaszubów. Tak powstawały i bodaj jeszcze powstają te kościoły, domy i dwory drewniane, na które patrząc, ma się wrażenie, że same wyrosły z ziemi, jak drzewa albo skały.

O ten podszept genjuszu ziemi chodzi w naszym kształtowaniu się. Są tacy, co go słuchać umieją młotliwie. Ta jednakowoż myśl, sztuka, polityka, która wyrosła jedynie na bruku miast, a kielkowała na podłogach kawiarni, zdaje się nawet nie wiedzieć o tem.

Kiedy mowa o ziemi polskiej i kulturze polskiej, zachodzi wówczas pytanie: a kresy? Litwa i Ruś? Czy te ziemie podciągać również pod pojęcie tworzywa jedności?

Jedni odpowiadają tak, i wskazują na tysiące polskich kurhanów i na polski stan posiadania. Inni twierdzą, że ziemia należy do tego, czyj lud ją orze plugiem.

Rzućmy okiem na te ziemie, które już weszły w krew i w ducha narodu. Dały one losom naszym wzrost, ale i tragizm; otworzyły drogę do poświęceń twardych, wyniosłych, ale i do pokuszeń zatracających. Udarowały nas rycerstwem kresowem, ale i typem wschodnim ospalca plantatora. Są na nich kurhany z pod Chocimia i Cecory, — ale są i mogiły walk domowych z pod Korsunia, Pilawiec, Żółtych Wód, Beresteczka, wszystko jedno zwycięskich czy przegranych.

Kresy bliskie dały nam Kościuszkę, Mickiewicza, dały Malczewskiego, Słowackiego. Kresy dalekie, ziemie walk prawie bratobójczych, dały Wiśniowieckiego, dały później Szczęsnego Potockiego. Obaj, w dobrej podobno wierze pracując dla Polski, pchali ją gorliwie do przepaści. Jeden zaprowadził Polskę pod Beresteczko i do takiego wyniszczenia się rasy, do takich bezpłodnych zmagania się, że odtąd Polska schodzi w dół. Drugi, gdy się dobywała z tej otchłani, stracił ją tam z powrotem.

Spójrzmy temu złemu w oczy.

Było zadaniem naszym bronić kultury europejskiej na wschodzie. Tośmy czynili. Mogiłami polskimi zasiane są kresy aż po Krym. Bez nas, bez chłopą polskiego, który ziemię uprawiał i kozaczył się, bez wo-

jownika polskiego, który jej bronił, ziemia ta byłaby dziś taką mieszaniną ras i wiar bez podstaw do kultury, jak Besarabja.

Było dalej naszym zadaniem wstrzymywać napór bizantynizmu na zachód, ścierać się z duchem jego państwowości, z jego pojęciem sumienia, z jego porządkiem moralnym we wszystkich dziedzinach życia.

I tośmy czynili. Nie polszczyliśmy Rusi przez przymus językowy, przez zamykanie ruskich szkół, przez kolonizację planową. W formie polskiej i ruskiej nieśliśmy kulturę zachodu; bo jej formą ruską była Unia.

Tak działali Władysław IV, Ossoliński, Leon Sapieha, Żółkiewski, Stefan Chmielecki wojewoda, „waleczny a miłosierny“, o którym mówią kroniki, że „placzu ludu znieść nie mógł“.

Ale przeciw nim stanęli inni. Stała duma magnatów. Nigdy w Polsce gniazdowej klasowa wzgarda i niechęć nie mogła dojść do takich rozmiarów jak tam, gdzie ponadto jeszcze rozdzielały ludzi obrządek i język. Tylko rozważne braterstwo przeprowadzić mogło oba ludy przez te przeszkody ku wielkiej wspólnej przyszłości. Ale magnat przelamał prawo ludzkiego braterstwa. Rozpoczyna się w duchu polskim pęknięcie, i odpada od Rzplitej miłość Ukrainy. Z wyjątkiem najgłębiej patrzących, naród został blaskiem miecza tej dumy uwiedziony. Jest to stałe niebezpieczeństwo glorii bohaterów kresowych; jest bowiem niebezpieczeństwem tych, co wyrosli wśród obcego ludu i na jego ziemi — bez umiłowania go, owszem, patrząc nań jako na łup do polknięcia. Ale każdy błąd ducha kończy się chorobą ducha — i zakaża cały organizm. Tak możnowładztwo kresowe zakaziło organizm Rzplitej.

Na polach to ukraińskich wyrosła choroba Targowicy.

Kiedy się patrzy na ziemię naszą jako na tworzywo jedności w kulturze, nie można zagadnienia tego omiąć. Nie jest ono tylko polityczne. Jest to zagadnienie sumienia.

Prawa nasze historyczne do Litwy i Rusi kończą się, Litwa i Ukraina budzą się do życia własnego. Lecz to życie, dzięki nam, będzie nadal spojone z zachodem; my zaś również, dzięki nim, będziemy mieli zadania do spełnienia na wschodzie, i czucie z nim. Bo czasy rozłamów bez wyjścia dochodzą do swego końca, wykopane przepaści zasypuje rosnący duch człowieczeństwa, — a ten ruch, raz obudzony, nie da się już powstrzymać robotą starych rządów.

Obok Polski fizycznej, która kończy się tam, gdzie się kończy gromada polska, istnieje tedy Polska moralna, która kończy się tam, gdzie kończy się polskość w duchu. Plantatorzy do niej nie należą, choćby mówili najczystsza polszczyzną, bo polskość jest stanem walki o pewien porządek moralny, a nie o łapczywość narodową.

Dlatego to może cały urok duszy tych ziem oddał się tak niepodzielnie słowu polskiemu w jego wielkich rapsodach. Oderwane od Korony, ziemie te przyszły ku nam przez bramę poezji z powrotem. Razem z nami weszły w język i w ducha polskiego cały ich odmienny duch, odrębna tęsknota. Bo na Litwie wszystko jest gusem. Inaczej tam szumią puszcze, światło inaczej tam świeci, jakby szło wprost z piersi Bóstwa, jakby było patrzącym osądem. Lasy ukrywają coś w sobie, wielkie jakieś tajemnice żywota, może świątynie starodawne i wajdelotów, może runiczne zacięcia

na kamieniach i pod korą drzew. Tumany całe skowronków unoszą się o świcie nad polami i rozśpiewują mgłę w powietrzu; woda, zawsze czysta i pogodna, podobna jest do spojrzenia niebieskich, głębokich oczu Litwina. A wszystko to jest pod zaklęciem, jak na Dziadów obrzędzie pod laską guślarza, kiedy powietrze pełne jest głosów z zaświata, a ludzie obcuja z duchami.

Inaczej znowu ziemia Rusi. Tam przez stepy płynie granie srebrnych dzwonów i zapach rozpalonych słońcem ziół, chaty w malwach i słonecznikach są jak gniazda miłosne gołębi; w cieniu drzew orzechowych przechodzą dziewczęta w białych sorokach, smukłe bizantyńki, co zabijają kochanków — bujność tu i bezkres, i radość aż do lęku — i za nią skradający się cień zdrady z błyskiem noża w oczach. Tu przez jary i burzany włóczy się konno widmo Wernyhory, biały koń pochyla głowę i wacha nozdrzami krew rozlaną po ziemi, a lirnik stary, ogromny, patrzy w księżyc napół błędni oczyma i wieści przyszłe zdarzenia ciszy nocnej, mogiłom, nikomu...

A dalej sprawa morza. Kiedy mowa o drogach do kultury, ono podnosi swój głos. I drogi polskiej kultury wiodą doń. Jest to tragedia jej losu. Rdzenny jej wzrost i rozmach z nad brzegów Bałtyku zapadł w ziemię, stał się światem dla archeologów.

Jak gdyby nam ucięto jedno skrzydło. Całą tężyznę pierwszych wieków zawdzięczamy dwom polskim ziemicom: basenowi morza Bałtyckiego i karpackim podgórzom, — dolnemu biegowi Wisły, i ziemi krakowskiej. Zapadły w ziemię dawne cudna, zręby wysokiego budownictwa; zamknęła się droga w szeroki świat.

Cały rozmach poszedł w inną stronę. Związek swój z ziemią litewską i ruską opłaciliśmy drogo.

Lecz drogi przyszłości zakryte. Być to może, że naturalny zlew wód, że przyrodzony skłon ziemi, że wytrwała praca ludu rolnego dokonają swego z powrotem: tego ludu, który już pozakładał swoje zamorskie kolonje, i który je zagospodarowaniem i liczebnością swoją lepiej niż flotą pancerną zabezpieczył. Dziś ten rozmach ku morzu przebija w polskim chłopie i działa na jego wyobraźnię. Kiedy u inteligencji cała lektura książek dla młodzieży rozbudza imaginację w kierunku przygód zamorskich, ale kończy się potem bezpłodnie, to u ludu morze ma już swoje podstawy w życiu. Niema wsi, a w okolicach gęsto zaludnionych niema chaty, któraby nie miała swoich poza morzem, i takich, co są z powrotem. Chłopi podkarpaccy stawiają żądania, aby w szkołach ludowych zaprowadzać naukę języka angielskiego. Są to zaczyny nowych pokładów dziejowych związanych z morzem, a wychodzących z ludu. Przyjdzie czas, kiedy potrzeba ziemi, siła w kościach i moc wyobraźni, da się temu dążeniu rozprężyć. Istnieje bowiem jeden czynnik, który przekreśla najtrwalsze równowagi i zaczyna tworzyć sam ze siebie nowy układ rzeczy i sił. Tym czynnikiem jest żywotność rasy.

W porcie polskim, w organizacji żeglugi polskiej, uścieli się jedna z dróg dla kultury polskiej. Będzie ona drogą najpierw dla kolonizatorów z ludu, i dla straceniów z inteligencji. Ale przez nią rozszerzy się horyzont, przez nią wejdzie światowość. Morze rozkołysze myśl i dzielność.

Dalszym elementem jedności naszej jest m o w a.
Czy mowa nasza stanowi jedność?

Tak. I to jedność od korzenia. Posiadamy język pierwotny, wyrosły prosto z ziemi, bez żadnej obcej szczepionki, język jak strumień bieżący z lodowców, nie amalgam, nie splot mów różnych pochodzeń. Wyrazy jego są cienką osłoną treści, wyrosłej wprost z bytu, z nieświadomego tworzywa. Różni się on w tem od angielskiego i od języków romańskich; posiada jeden pień. Od niemieckiego wyróżnia go korzystne bogactwo odmian w czasowaniu i przypadkowaniu; język polski zachował siedem przypadków i dualizm w przypadkowaniu i czasowaniu, liczne osobne formy na czas zaprzeszy, rodzaje w czasowaniu, a co ważniejsza, posiada swobodną składnię. Pozwala mu to być giętkim narzędziem nie tylko myśli, lecz uczuć i temperamentu. Proszę przełożyć na język germański czy romański którąkolwiek z opalowych strof Słowackiego. Nic nie zrówna językowi temu, który jest „jak piorun jasny, prędki, i jak ciemna, pełna słowików topola“. W najlepszym stylu niemieckim, u Goethego, jest gawędziarstwo (Nietzsche); w najlepszym stylu francuskim — patos sceny. U Słowackiego słowo rozmawia z duszą własną.

Kochanowski, Skarga, Mickiewicz — przedstawiciele stylu męskiego, ci tworzą senat mowy; większy tu ciężar gatunkowy słowa, wyższa powaga, zwartość, — zdolność do wybuchów nakazujących w natchnieniu i do głębokiego spokoju. W izbie poselskiej zasiądzie najwyżej Słowacki, mając Birkowskiego po prawicy, Orzechowskiego po lewicy, Paska do robienia tumultów, a biskupie pióro Krasickiego do żartów ze wszyst-

kiego. W mowie polskiej przedstawiają oni styl żeński, już to subtelny w mianowaniu uczuć, jak mozaiki starożytne o czterdziestu tysiącach kolorów, — już to ruchliwy i gwarny sejmikowo, a zawsze uklejniony jak radza indyjski i barwny jak pawie ogon. Na wyżynach oba te style przechodzą w orędzie: Mickiewicz modli się gromami rozłamanymi nad głową całej ludzkości — takie są jego ostatnie wykłady z katedry, i mowy w kole Braci — huczą gniewem miłościwym jakby z nieba biły ku ziemi. U Słowackiego podobne do śpiewu w białym тумie, słowa te leją dymiącą smog na ołtarz ofiarny, i od ziemi lotne, wonne, wznoszą się kłębami ku niebu. Taką jest Genesis z Ducha.

Są dalej style u nas pozujące, patologiczne, rozkochane w sobie i w ozdobach swoich jak odaliska. Ku pozie pochylony jest np. styl Krasińskiego — z wyjątkiem jednym Nieboskiej. Klęską w kulturze jest styl błaznujący. Wychowanie ku dobremu stylowi polegać będzie na wzorach, na ich ustaleniu wedle czystości i wagi. To jest droga do polskiego stylu w mowie.

Czy polski styl w mowie istnieje? Jako styl powszechny, narodowy, w mówieniu, w listach, w życiu prywatnym i publicznym?

Jako taki był w wieku 16-ym, 17-ym; zepsuty łaciną, odrodził się w czasach Sejmu Czteroletniego, spotęgniał w pierwszej połowie XIX w. Dziś zapodział się, mimo Sienkiewicza, mimo Żeromskiego w jego opowiadaniach mniejszych i dramatach. Ale są jego tworzywa. Jest mowa ludu. To nie jest tylko gwara. Lud mówi, nie czyta — a niebezpieczeństwem stylu jest zła książka, jest jej styl książkowy. Kiedy taka książka wpływa na mowę, tworzy się literackość. Tymczasem

książka powinna być pisaną mową, wtedy zachowa jej zdrowy oddech, jej rytm zgodny z rytmem krwi.

Mowa ludu naszego ma swój własny styl, własne obrazowanie, rodzimość wyrażen i ciągłą twórczość. Lecz główny jej urok stanowi styl. Przeszedł on do pieśni kościelnych. To są sztandary majestatu, ku którym nam zawsze patrzeć. Skarby jego leżą w pieśni ludowej. Kochanowski jest mu bliski mimo erudycji. Po te skarby sięgnąć należy, po mowę ludu, po jego pieśń. Na nich się uczyć, z nich czerpać, szanować je jak czyste strumienie, płynące koło domu.

Drugie tworzywo stylu: dobre wzory. Postawić je wysoko w narodzie, rozpowszechnić je. Nimi bić tandetę, impregnację lichych przekładów, z niemieckiego zwłaszcza, żargonowość makaroniczną niektórych naszych krytyków i publicystów, i ogoniastotę wymuszoną. Wogóle mowę i jej styl tworzy się od wewnątrz, nie od zewnątrz; przez ciągłość ducha narodowego, przez sferę myśli, w której on żyje i tworzy, — a nie przez walkę z wyrazami. Tworzenie stylu przez uczenie stylu nie doprowadza do celu, i jak każda rzecz bezduszna, jest nudne. Trzeba ten styl tworzyć razem z duszą. Gdzie duch wyprowadza się z głębi, tam mu łatwo pochwycić za swoją formę. Z duchowego rytmu tworzy się rytm mowy narodowej, styl jest tu osadzi.

Przeszkodziła nam w swoim czasie łacina, odgięła składnię polską ku łatyńskiej, stąd częste który i kładzenie orzeczenia na końcu. Ale Skarga kładzie czasownik na początku i krzesze w ten sposób siłę. Bo cechą stylu polskiego jest aktywność, coś z chorągwi kawalerskiej pozostało w nim. Zauważono, że trzy czwarte porównań u Goethego jest refleksyjnych. Ro-

syjskiego języka nie znam, porównywać z polskim nie mogę. O ile mi wnosić wolno, różnią się one sferą, w jakiej kwitną. Język rosyjski, jak pas Wenusowy, błyska w sferze namiętności, od miłosnego okrucieństwa i ufnej dumy, do samozniszczenia i pokornej beznadziei. Język polski wyrasta w inną sferę, jak strażnik strzegący proga pomiędzy ziemskim a wiecznym. Mówiono mi, że jest rzeczą niepodobną przełożyć na rosyjski np. Anhellego.

Strzeżmy mowy naszej od książkowości w wychowaniu. Stąd wielka dla nas waga t e a t r u.

Przez mowę na deskach polskiej sceny wkraczamy w problemat sztuki, w jej styl, charakter, w jej siłę jedności.

Sztuka polska sięgnęła po rząd dusz głównie przez dramat. Koło tej żądz duchowej skupia i skryształuje jej styl. Tu, w dramacie, polskość w duchu szuka swego stosunku do życia, dochodzi nowych praw duchowego bytu; tu cierpiąca, splomieniona myśl narodu walczy z Zeusem swojego losu, a cały naród, zgromadzony koło ofiarnego ołtarza, bierze udział w wypadkach jak chór starożytny. Twórczość dramatyczna zajęła u nas to miejsce, co muzyka w Niemczech, co moralistyka w Anglii, co krytyka we Francji, a powieść w Rosji.

W te głębie losu plemiennego zapadł już był Kochanowski przy pisaniu „Odprawy Posłów Greckich“. Zawiódł go tam wielki lęk, groza przeczuć, nadlatująca z przepaści, jaka roztwierać się i pękać poczęła w duchu narodowym; bo, co się dziś poczęło w duchu, jutro wyskoczy z pod ziemi jak konie Plutona. Pa-

trząc w ten pierwszy polski dramat, możemy sobie powiedzieć, że niema dla nas usprawiedliwień jakoby słowo w narodzie nie spełniło swojej roli. Wszystko, co mogło nam być powiedziane, było w swoim czasie powiedziane. Orzechowski pisał: „Byś serce moje rozkroił, nic w niem nie znajdziesz, jedno to słowo: zginiemy“. Górnicki niepokoił się: „Fata jakieś nas pędzą“. Rej mówił prosto i wyraźnie: „Łzy Chrystusowe nas pobijają“. A ponad całym dramatem Kochanowskiego łopocą ciemne słowa: „Po co mię próżno, srogi Apollo, trąpisz, — który wieszczego ducha dawszy, nie dałeś wagi w słowach“? Lecz i Polacy mieli tę Kassandra za szaloną dziewczkę i nic więcej; wszakże było to w czasie pełnego rozkwitu sił, w złotej epoce Zygmuntów. I tak to najczęściej bywa; katastrofy, dojrzewające przez wieki, ostrzegają o sobie prorocznie nie przed końcem, ale w początku swoich poczyną. Głos Skargi i jemu podobnych — a podobnych jemu było w onym czasie wielu — podnosi się wówczas ponad Polską, kiedy jeszcze był czas do nawrócenia z fatalnej drogi. A gdy katastrofa jest u bram, przeczucia milkną, szalona wesołość cgarnia całe społeczeństwo. W tem leży waga przeczuć. I w tem leży waga wielkiej poezji polskiej, wiernej służebnicy swego ludu. Przestroga to dla tych, którzy mają ją dziś za szaloną dziewczkę i nic więcej.

Odtąd ten srogi dar Apolla towarzyszy polskiej dramie. Tylko jego zagadnienie środkowe, wieszczą ochrona świątyni w której bije serce narodowe, tylko ów zatarg pomiędzy wolnością a miłością, pomiędzy poszukiwaniem siebie w piękności a prawem ofiary — rozrósł się obecnie i zawikłał wraz z duchem czasu i losu.

W niej to, w sztuce dramatycznej myśl polska zмага się ze swoją głębią. Dokąd iść, stanowi, jak mówiliśmy, duszę każdej kultury, o nią opiera się ona jak o dno. To dno przegląda u nas przez strumień twórczości dramatycznej.

Nie jest to tylko łamanie się z niewolą historyczną, walka z nieprzyjacielem. Jest to walka z duchem czasu, łamanie się z niewolą od korzenia, tą, która w całej kulturze zostawiła człowiekowi pół duszy. W tej walce o samą duszę pokoleń naszych, zapoczątej w Dziadach, kultura polska podjęła walkę tragiczną o ludzki typ, o jego drogi w przyszłość. Doszła ona przez sprawę polską, jak godniejsza postać świata należy w zasadzie nie od ruchów masowych, ale od przetworzenia człowieka, od rewolucji w duchu. Zobaczyła ona przez to sprawę polską jako zagadnienie światowe, jako sprawę religijnego przeżycia i przetworzenia moralnych podstaw naszych czasów — i rozwiązanie tego zadania postawiła przed swoim narodem.

Zaznaczywszy jedynie w ten sposób naturę wielkiego dramatu polskiego — tem wyraźniej zobaczymy, że teatr polski wymaga ochrony. Jest on szkołą bohaterstwa, jest teatrem duszy, i takim powinien zostać nadal. Nie jako miejsce wieczornej rozrywki, oddane do rezonowań paryskich i angielskich kpiarzy, ale jako mównica ducha narodowego, wybuchającego z dna. Trzeba te rzeczy zobaczyć w całej ich powadze, aby zdać sobie sprawę, jak wielką stawkę rzucamy w grze o kulturę, decydując o postawie teatru w życiu narodem.

Obok teatru w mieście, na drogach do kultury wyrasta sprawa druga — teatru na wsi.

Dotykamy tu tem samem zagadnienia dwustronności naszej kultury. Posiada ona dwa oblicza, dwie ostoje duchowe. Jedna z nich, szlachecka, skupiła się i przesiliła w indywidualizmie Polaka. Upojona własną wolnością, siła ta, przełamawszy granice, weszła w końcu na drogi lucyferyczne i wzięła rozpęd fatalny, aby potem, na drodze krwawych załamów i upokorzeń duchowych, dojść do prawa ofiary z powrotem. Druga siła narodowa to duch ludowy, gromada. Odtrącony w szarość i trud, wydziedziczony z kultury dla której tylko ponosił ofiary, on, twórca naszego języka, naszego budownictwa, naszej muzyki, pracownik bezimienny, twórca bezimienny, zgłębił w sobie wielkie prawo życia przez ofiarę, i dojrzał w niem — bez dociekań myśli, zaświadczenie. Aby zasłużyć w sobie na nowy zakon wolności, trzeba do niego dojrzeć, a dojrzewa się do prawa nowego przez pełnienie zakonu dawnego. Lud zaś pełnił stare prawo, pełnił je długo i wytrwale. Dziś życie woła go do prawa nowego.

Kto miał z ludem d oczynienia, z jego pokoleniem młodszem, które już podnosi głowę od pluga, ten miał może sposobność zauważyć w nim typy dwa. Jeden z nich to typ trywialny, do wyższej kultury podatny mało, ale z talentem dostosowania się do życia, do jego małych ambicji i renty. Drugi to typ piastowy, z duszą cichą, wrażliwą na cześć, niezłomną, typ bohaterski. Umiała go podpatrzeć sztuka, wiedzą o nim pola bitew styczińskich, tajne związki, szkoły gospodarcze, legjony.

Temu to typowi kmięcemu, wykutemu młotem pracy, wychowanemu na żywotach świętych i legendach, niech obecnie poda rękę i objawi się słowo narodowe.

Niech się nawiąże stosunek żywej duszy ludowej do słowa żywego, nie przez broszury popularne, nie przez agitacje partyjne, ale wprost przez genjusz narodu, przez wielką scenę ludową.

Mam tu na myśli nie zwykły teatr ludowy, popularny przedsięwzięcie sztuki. Mam na myśli wielki akt wychowawczy, szkołę bohaterstwa i wtajemniczenia, gdzie dusza ludu przychodziłaby zawierać śluby wieczyste z narodem.

Jest zadaniem tych, co dbać myślą o nasze drogi do kultury, postawienie przed ludem sztuki wielkiej i czystej. Tak podana, stałaby się ona jego potrzebą duchową, do której ciągnąłby tak, że dni przedstawień byłyby dniami pielgrzymek. Teatr ten, zbudowany na wsi w otoczeniu przyrody, byłby otwarty tylko dwa razy do roku. w czasie, kiedy najmniej pracy na polach: około Wielkiej Nocy — i około Bożego Narodzenia. Przez żywe słowo takiej sceny sztuka nasza, która przeważnie z jego ballad, legend i obrzędów wyrosła, powróci doń po długiej wędrówce, jak syn marnotrawny powraca zboląły w znane sobie ojcowskie zagrody — i odda mu siłę swoją do walki o nowe jutro.

Podnosząc u nas sprawę wychowania przez sztukę, zauważę, że tego imania się za nią, jako za drogę do kultury, nie utożsamiam jeszcze przez to z estetycznym poglądem na życie. Mogło tak być w Grecji, gdzie sztuka była religią życia, gdzie piękno było całą wartością bytu, jedyną jego pewnością idealną. Sława, bohaterstwo, myśl filozoficzna, nawet akt śmierci, były atrybutami piękna. Ale zdarzyło się potem, że śmierć niepiękna, w powolnej konwulsji z ćwiekami w rękach

i nogach, na nikczemnym krzyżu, rozsadziła urok tego piękna. Zawsze nowe widzenie szczęścia w duszy jest tą siłą, która wytwarza w koło siebie nowy świat, nową kulturę, nowe widzenie piękna. Szary habit św. Franciszka nabrał większego uroku, niż najlepiej ułożony płaszcz Peryklesa. Wic o tem każda szarytka, nachylająca się nad chorym, pełnym wrzodów. Czasy nowożytnie wróciły wprawdzie życiu realnemu jego prężność, jego dążenie do zapanowania nad przyrodą i nad temi zjawiskami życia ludzkiego, które są częścią przyrody; ale praca ta, wysiłek, budowanie życia, poświęcenie, wytworzyły już sobie własną siłę rozpędu, od pobudek greckich niezależną. Działa w nich rozrost potęgi, działa poczucie wielkiej woli, łamiącej się z przymusem. Czuje to każdy technik, kiedy zakłada kabel transatlantycki, przekopuje międzymorza; czuje uczony, kiedy przyrodzie wyrывa tajemnice i nowe siły; działacz, co za nowe prawa człowieka idzie do więzienia, na rusztowanie; robotnik w fabrykach i w dokach.

Niemniej ta sztuka, która duszę oczyszcza i budzi, która wstrząsa sumieniem osądem piękną, a w serce sieje poczucie wielkich przeznaczeń — ta sztuka niechaj będzie towarzyszem ludowi, mimo całego twardego kanonu pracy. Napięcie pracy leży w wielkich prawach życia samego, ale rytm nadaje tej pracy dopiero sztuka. Ona to słucha wielkiego rytmu, który przebiega gwiazdy, morza, który kołysze falami wieków; — bierze go cała w piersi swoje, i tym rytmem uderza w dusze, które, jak wszystko, wyszły również z gwiazd i z morza, i fali wieków. Ten to rytm w pracy i w życiu kształtuje kulturę. Hoplici greccy, idąc w pochód, mieli

zwyczaj śpiewać do taktu, do kroku — i tak powstały rapsody Iliady; wiersze w nich podzielone są na stąpanięcia, czyli stopy. Ten śpiew ponosił ich kroki, i z samego pochodu dobywał nową harmonję. Życie bez sztuki, bez rytmu, jest jak bieg hordy barbarzyńców. Można przecież być barbarzyńcą oświeconym, a nawet uczonym.

Przez mowę przechodzimy do ś p i e w u i m u z y k i.

Czy Polacy mogą mieć muzykę?

Chopin zgarnął w pierś swoją melodję ludową i rozproszął na wielkiej harfie narodu, ubranej w laur i kir. Ale ten smętny gęślarz polski należy do rodu Wenedów; serce jego pęknięte od żalu, jak te dzwony w żałobnym pochodzie, w które piorun nieszczęścia uderzył; z pod takiej pieśni już się nie zmartwychwstaje. Jest w niej jakaś chwała życia, która odchodzi na zawsze; niema kołyski nowych dni, niema macierzyństwa przyszłości. Tak zamiera śpiewając człowiek samotny, kiedy się oderwał od narodu, zrozpaczeniem pchnięty na pustynię. Taką też pieśnią samotnego ducha o ojczyźnie jest muzyka Chopina. Jest w niej coś kończącego się — może wielka elegja pokolenia duchowego, które Polskę widziało tylko w sobie i przez siebie, pokolenie orłów skalnych, którym zburzono gniazda, i które oderwały się od ziemi w błękit wysoki, jakby chciały wracać na słońce. Lecz słońca dosięgnąć niepodobna, zmęczenie strąca na ziemię z powrotem. Jest w tej melodji obumarcie z żalu i znużenia; niema tego obumarcia w duchu, które prowadzi do odrodzenia. Jak gdyby owa zawieja duchowa, lecąca w dzie-

jach przez polską naturę w blaskach piękności wielkiej i szaleństwa, uderzyła w pierś tego człowieka, harfę ludu, i rozegrała jękiem swoim jej wszystkie akordy.

Duchowi temu samotniczemu odpowiedziała forma skończona, dalej rozwijać się ona nie może. Bach, Mozart, Beethoven budują jeden na drugim wielki tum muzyki niemieckiej. Chopin stoi samotny, dalszą przyszłość muzyki polskiej zaczynać musi gdzieindziej. Jest też ona pod znakiem oczekiwania.

Chcąc się rozwijać, musi zawrócić do źródeł. Posiadamy lud muzykalny. Bogactwo jego motywów jest ogromne — od tanecznego oberka z samoistnym akcentem na szóstej, do największego na świecie zbioru kolend. Jego zaśpiewy obyczajowe sięgają do tonacji indyjskiej. Skala ich uczuciowa jest również rozległa, tem różnią się one od pieśni ruskich, przepięknych, ale monotonnych. Gdyby ten lud przeszedł był jakiegokolwiek wychowanie muzyczne, tak jak lud ruski i rosyjski przeszedł szkołę cerkiewnego śpiewu, to mielibyśmy dziś potężne podwaliny pod rozwój kultury muzycznej. W Niemczech podwaliny te były niezbyt mocne, lud niemiecki w gruncie rzeczy nie jest muzykalny — a jednak zwarty gmach muzyki wyrósł na nich na drodze wyszkolenia i tradycji. Protestantyzm uczynił z niej kult, pieśń i muzyka stały się modlitwą i obrzędem. U nas kultura muzyczna nie wyrobiła się. Było wielkie poczucie rytmu, i tu stworzyliśmy muzykę gestu, taniec. W polonczce i mazurze wyraził się gest narodowy i narzucił jako światowy. Niemniej po Chopinie muzyki wielkiej brak. Wogóle brak mickiewiczowskiego tonu mocy, gromowego władania żywio-

łem. A przecież stare kościelne pieśni b'agalne, śpiewane na wsi, mają w sobie całe objawienie ducha narodowego w tonach. Każda wielka muzyka wyszła z ducha kosmicznego religii. Wątpię, aby z poczynania gdzieindziej można dojść do wielkiej muzycznej kultury. — Dopokąd u nas twórczość muzyczna nie nawróci do źródeł, nie stanie razem z ludem w jednym hymnie gromadnym, dopóki będzie w niej chwytywanie motywów ludowych, a nie będzie zżycia się z duszą ludu na głębinie tonów, dopóty duch muzyki narodowej nie wybuchnie jak żywioł. My nie dojdziemy do symfonii i dramatu muzycznego przez filozofowanie. Trzeba wyjść z woli narodowej, która czuje, dąży, wierzy. Genjusz muzyki uczyni w przyszłości to, co uczynił już genjusz poczji: mitem przetworzy życie, i pod postacią symbolów wykona osąd sumienia — jak guślarz na Dziadów obrzędzie. Muzyce polskiej pozostaje dziś jedno: wydobyć mickiewiczowski ton — aby to, cośmy przewyciężyli w słowie, nie płatało nam nóg w muzyce: sobiepaństwo! — choćby na krzyżu.

Naogół panuje u nas dzisiaj w tej dziedzinie powierzchowność, brak kultury muzycznej, mimo nieraz wykształcenia technicznego. Bujają chwasty. Jest to niebezpieczeństwo w kulturze, jest to brak, na który nie mamy usprawiedliwienia. By się z tego wydobyć, należałoby może wrócić znów do śpiewu — tworzyć choralne zespoły, i w nich przechowywać jak relikwie okruchy dawnej muzyki polskiej, psalterz Gomołki, pieśni religijne od najstarszych poczynając, pieśni ludowe brane tak, jak w polu wyrosły.

Nie zapominajmy o tem, że natura ludzka, która rozwija się jak wszystko, ciągle odradza się, pragnie sił,

które niosą jej oczyszczenie. Bez oczyszczenia bowiem w naturze instynktów niema wzrostu. Muzyka jest tą siłą, która dokonywa orteuszowskiego dzieła uśmierzenia i uszlachetniania instynktów. Ponad zamętem i burzą budzi spokój, dobywa świadomość bezmiaru. Pozwala duszy odejść od gwaru życia i zaczerpnąć powietrza wolności.

W roku 1848 pisał Bohdan Dziekoński, towiańczyk-legjonista: „O! Kościuszki nie mieliśmy żadnego męża“ — i dodawał: „Więc dlatego opuścić ręce? Wypada tworzyć ludzi i okoliczności!“

Odpowiedź prosta a wielka. Naród może wychować mężów swoich -- ale początek tkwi w rodzinie. Jaka atmosfera ścian domowych, takich wydaje synów kobieta polska. Trzeba uświęcić jej wnętrzości, aby uświęcić polski los. Trzeba miłość oczyścić i oprzeć na głębi. Trzeba pod dachy polskich domów podłożyć płomień ducha. I tu jest błogosławiona rola muzyki w ścianach domu. Jak Demeter, bogini i służebnica, przychodzi ona zasiąść wraz z domownikami, gotowa uciszać i oczyszczać serca głosem swoim.

Tam samem przechodzimy do dalszego tworzywa kultury — jakim jest dom. Z domem i jego budową wiąże się w kulturze rodzimość budownictwa. I nie tylko budownictwa. Wiaże się z nim całe zdobnictwo w sprzętach, w naczyniach, w tkaninach. Widzimy to w czasach najnowszych, jak z zaprowadzeniem wielkich domów mieszkalnych po miastach, i z zapanowaniem typu mieszkania hotelowego, upada sprzętarstwo, zduństwo czyli ceramika, zapodziewa

się zdobnictwo; osłabiło się tkactwo w zakresie tkanin domowych.

Zapodziewa się przytem coś więcej, bo samo poczucie domu rodzinnego, gniazda.

Dziś tylko lud ma dom w jego rodzinnem znaczeniu. Są w nim, acz skromne, podwaliny i zarysy tego stylu, w jakim budowane były dwory możnych kmieci i dziedziców, w jakim się budował polski dwór, polski dom drewniany i murowany po miastach, polska dawna pogąńska kontyna. Wielkość i piękno tych świątyń zadziwiało obcych. Pierwsze kościoły były im również podobne, miały podcienia; nazywano je sobótkami. I wielkie zamki magnackie, prawie aż do 17 wieku, były stawiane przez budowniczych krajowych z drzewa, zapewne starodawnym zaciosem.

Ten sam układ, poczęty w drzewie, da się przenosić na cegłę i kamień. Tak było ze świątynią grecką, i tem się może tłumaczyć jej wdzięk i lekkość budowy.

Wdzięk jest również główną cechą polskiego budownictwa, polskiego domu. Typ dworu polskiego ma w sobie tajemnicę rzetelnego piękna: szlachetne proporcje, powagę i pewien wyraz w całości, który potrzebę wykryształa w urok. Niema zaś w nim upiększeń niepotrzebnych, rozwinięć dekoracyjnych, połączonych z całością bez uzasadnienia. Niema również dążenia do monumentalności, chęci imponowania lub odurzania frontonami. Niema także zamykania się w sobie i pokazywania ludziom zaciśniętej pięści. Tym charakterem swoim wdzięcznym i szczerym, tudzież stałem łączeniem domu z ogrodem kwiatowym i sadem, dwór polski ma dalekie podobieństwo z domem japońskim. Tę samą łączność z ogrodem kwiatowym,

choćby najmniejszym, ma chata włościańska. Przenosi się ów ogród wraz z domem i do miasteczek, z tą różnicą, że idzie na tyły domu.

W miarę odrywania się warstw górnych od upodobań i charakteru narodowego, przyleciały i osiadły na ziemi naszej, jak obce ptactwo pychy, owe dachy z miedzi złoconej, sufity szklane z sadzawkami, drogocenne marmury, porfiry, drzewo różane i cyprysowe. Ale duch narodowy pod tymi dachami nie wymieszkał. Przeniósł się on do drobnej szlachty, tej, co miała strzechy słomiane, a przy rozmierzaniu zagonu używała szabli jako znaku mierniczego. Z tych domów wyszli Kościuszko, Mickiewicz, Czwartacy.

Dawne dwory budowały się przez trzy pokolenia, a rozszerzały od wewnątrz na zewnątrz — tak jak każdy organizm. Zdobność wnętrza polegała na makatach, kobiercach, kilimach, któremi wykładano ściany i podłogi, na wielkiej obfitości skór, zgodnie z północnym klimatem.

W drodze do kultury, typ domu znaczy bardzo wiele. Dwór polski stworzył do niego podstawy, a czasy dzisiejsze powracają mu w architekturze jego prawa rodzime do bytu. Są w nim arcydzieła w duchu, czekające na talent, który je powiedzie do rozkwitu.

Jak dom odbija się na duszy, widzimy to np. na Kraśńskim. Niema w jego utworach przyrody polskiej — ale to wcale. Jest to skutek wychowania pałacowego i mieszkania w dyliżansie, zagranicą, życia hotelowego między jednym kurjerem a drugim. Z drugiej strony, chłop polski, osiadając w Paranie, zabiera ze sobą w duszę i przenosi do niej polską wieś. Tak samo się buduje. ogradza, rym samym posługuje sprzętem.

Czy ten typ domu polskiego może także mieć zastosowanie w mieście? Na to architekt polski dzisiaj daje odpowiedź. Drapaczów nieba stawiać z nich nie można, owych wież studziennych z oknami we wnętrzu, gdzie brak słońca hoduje anemię, a ulice zawsze są w cieniu. Ale można je swobodnie rozwinąć w proporcje miejskich domów mieszkalnych, nie gubiąc ich wdzięku i stylu.

Da się ten sposób zastosować zaraz do naszych miast i niasteczek przy ich odbudowie. Tu miasto - ogród, z gromadami dworków pośród kwiatów i sadów, może wejść w zastosowanie — byle była myśl kierownicza oblatująca kraj cały, byle było czuwanie i troska. Dotyczy to nawet domów najuboższych. Każdy trud i żmudę znieśie ten, komu życie zapewni godziny jasnego wytnienia, jakie daje powrót do mieszkania które ma w sobie duszę domu a nie hotelu lub koszar.

Z upadkiem sposobów mieszkania upadły sztuki zdobnicze. Trzymają się one zawsze domu. Dziś sztuka odeszła do sal wystawowych i stała się przywilejem, zbytkiem; a w otoczeniu codziennem, to jest tam właśnie, gdzie nam ona towarzyszyć winna, zapomniała tandeta. Jest tu pole do ogromu polskiej twórczości na przyszłość, twórczości, opartej na talencie zdobniczym, który już przed wiekami Słowian wyróżniał.

Nawrót do domu rodzinnego będzie nawrotem do rodzinnego sprzętarstwa i zdobnictwa. Trzeba raz położyć temu koniec, aby wielki dom Rzplitej zamieniał się coraz więcej w hotel dochodowy, gdzie mieszkanie jest poczekalnią pełną gratów, o które myśl i spojrzenie potracają z roztargnieniem, nie mogąc przyłgnąć

do niczego, niczego otoczyć tradycją. I na domy nasze spaść musi myśl narodowa jak orlica, musi się zanurzyć w glaz, w drzewo, w metal, w glinę, w każdą otaczającą nas materję, musi pochłonąć ją sobą i przetworzyć i powiedzieć o sobie: — jestem.

Z domem, jako tworzywem kultury, łączy się obyczaj. W dawnej Rzplitej był on ostoją jej bytu. Przy niedokładności rygorów prawnych i instytucji porządku, nim to głównie, obyczajem a nie prawem, stała w gruncie rzeczy Rzplita. Gdzie w państwach z władzą praworządną władał rygor „groźby i nadziei“, tam w Polsce, w tych samych często wypadkach obowiązek postępowania obywatelskiego oparty był na dobrowolności — i jedynie przymus wewnętrzny, nakaz moralny, był tu przeważnie „bodźcem i hamulcem“. Ten to przymus był skutkiem nacisku, wywieranego przez obyczaj. Na opornego, na łamiącego obyczaj, trybunałem był wyrok opinii, dość silny, aby złamać, nawet unicestwić. Polska stanowiła państwo w zasadzie obyczajowe, nie prawne — przynajmniej pokusiła się o to, by niem być. Zuchwałą była ta koncepcja. Na utrzymanie jej na wysokości brakło sił. Zachwiała się ostoja obyczaju. Ale zdając sobie sprawę z różnicy między rygorem prawnym a moralnym, widzimy, że w stosunku do społeczeństwa, opartego na prawie, było w tem dążenie do wyższej formy bytu, opartej na zaufaniu.

Podstawę takiego ustroju obyczajowego stanowiło poczucie braterstwa, a źródłem tego poczucia — rodzina. W niej obyczaj władał najsilniej i stwarzał formy, które promieniowały dalej. Formy te nadawały całemu na-

rodowi obcowanie rodzinne. Braterstwo tworzyło równość wobec prawa, ale nie równość w hierarchji szacunku. Istniały stopnie i odcienia szacunku; oddawała je mowa subtelnie i bogato. Odcienia te uderzają również w stosunku do kobiety, do żony.

Była to droga do kultury. W obyczaju instynkty życia znajdowały formę, w której dochodziły do godności. Obyczaj ten pobudzał instynkty szlachetne, a na inne nakładał wędzidło. Zwłaszcza też w życiu rodzinnem obyczajowość wytworzyła swój świat o pewnym stylu i uroku, świat pełen wyrazu i bujnie ukształtowany. Tu się bowiem układa stosunek mężczyzny i kobiety, stosunek trzech pokoleń, rodzinna obrzędowość życia religijnego, i stosunek do pokoleń zmarłych.

Tych instynktów szacunku i czci w stosunku człowieka do człowieka, należy strzedz i chronić, jako *primum movens* w kulturze. A to wymaga wychowania.

W stosunku do kobiety obyczaj polski osłabia się dziś przez zmysłowość, która poczyną bujać na naszej kulturze. Jeżeli dawniej spotkać się było można z opinią, że Polka kocha tylko raz, to był to skutek wychowania przez obyczaj, była w tem czujność geniuszu rasy.

Albo weźmy pamięć o zmarłych. Tu kultura schodzi się z religją, inaczej mówiąc, dotyka swego dna — dnem bowiem każdej kultury jest religijna wola życia. Gdzie ten stosunek rwie się w strzępy, cóż zostaje z pamięci o zmarłych? Cóż zostaje z pamięci o przodkach, o bohaterach, o pokoleniach minionych? Jedyne pamięć o popiele.

Dotykamy tu zagrożenia życia w jego głębi. Kiedy mówimy o kulturze, że jest ona wychowaniem wedle

wzorów, — czemże to jest innem w języku duchowym, jeżeli nie właśnie czcią dla przodków? Z tego to poczucia związku i ciągłości życia, z tego pogłębienia jego duchowej natury, wyrosły w średnich wiekach żywoty świętych. Było to wychowanie wedle wzorów w całej swej potęgze. I my dążymy dziś do tego samego wychowania, ale już bez tej potęgi. Myśląc o księdze żywotów wielkich i czcigodnych w narodzie, księdze, której u nas dotąd niema, ale która stworzoną być winna, — stworzymy z niej tylko suchy morał, jeżeli nie oprzemy jej o życie rozszerzone przez związek żywy pokoleń, przez religijne związku tego ujęcie, którego śmierć rozerwać nie jest w stanie.

Dziś, przy odbudowie naszych miast pomniejszych, dobrze byłoby wprowadzić obyczaj umieszczania tablic na zewnętrznej stronie świątyń lub innych budowli pamiątkowych, z wymienieniem nazwisk tych, którzy wyszli z onego miasta a pracą swoją, zasługą i talentem świecili w Rzeczypospolitej. Bo któż pamięta, że Skarga pochodził z Grójca, któż dziś wspomni w tych szarych mieścinach takiego Michała z Bystrzykowa, Jana ze Stobnicy, Jędrzeja Gałka z Dobczyna, Wojciecha z Brudzewa, Jana z Radlic, Jakóba z Kobylina, Mateusza z Szamotuł, Marcina z Olkusza, Macieja z Miechowa, — i ten cały poczet mieszczan, pracujących chlubnie na samem polu nauki w XV i XVI wieku, kiedyśmy mieli jeszcze i polskich mieszczan i polską naukę. Taka pamięć o godnych pamięci nie jest błahym aktem na pokaz; budziłaby ona niejaką dumę w młodzieży onych miast niepozornych, wskazywała jej drogi do kultury.

Najsilniejszy ład obyczajowy zachował dotąd lud.

Zna on np. święto, umie z niego dobywać ukryty czar. W mieście — święto, jest bez duszy, bez treści, jest to dzień do próżnowania. Sam sposób, w jaki lud idzie do kościoła, świadczy o powadze jego obyczaju. A dalej formy świąt: święto gromniczne, dni krzyżowe błogosławienia pól, święto święcenia ziół, płonów, kiedy nawet miasta nasze pachną od naniesionych snopów i naręczy. Czy to są formy bez treści, czy to ma także zginąć? I czy ten cały głęboki, żywy świat obyczajowości religijnej nie jest zagadnieniem, z którego inteligencja nasza, dążąca dzisiaj do łączności z ludem, powinna sobie zdać sprawę?

W raptularzu Słowackiego czytamy takie noty pod nagłówkiem: „Święta przyszłe narodowe“: 1) Święto ofiary — 2) Święto umarłych — 3) Święto braterstwa, komunja stołów — 4) Poświęcenie wody — święto matek o uproszenie duchów wielkich (w kwietniu) — 5) Święto Niepokalanej Dziewicy (w maju), przez kapłanki uproszenie ducha piękności — 6) Święto Hymnów, aby się przybliżyło Królestwo Boże — 7) O podniesienie duchów niższych, święto trzód — 8) Święto Ducha — wynalazków, prośba o natchnienie — 9) (w grudniu, na św. Jana) święto światła Chrystusa, malarzy. — Jak widzimy, schodzą się one ze świętami kościelnymi.

Czy te święta narodowe to marzenie? Nie, to parcie żywych sił. Wyobraźnia jest tylko ich organizatorem. Tak marzyć może drzewo w sadzie, w porze przed kwitnieniem, kiedy gałązki jego siecze deszcz i chłodny wicher targa. Ale ono czarne i bezlistne, wierzy w cud. I staje mu się wedle wiary jego.

Czem jest obyczaj, ukształtowany w święto narodo-

we? Jest on tą siłą która zdarzenia historyczne pogłębia w przeżycia religijne. I naród wtedy jest wielkim, jeśli ma dni, kiedy czyny jego i wypadki dziejowe są zarazem sprawami duszy człowieczej. Żadna kultura naukowa, żadna moralność zbiorowa czy państwowa, nie zbudują nic trwałego, jeśli z podstaw tej budowy usuniętą będzie ludzka dusza, jej byt, jej wzrost, jej wielkość, jej zagadnienie wieczyste. Tylko ten stosunek do życia nadaje wydarzeniom historycznym doniosłość wstrząsającą. I z niego to rodzą się siły, które te zdarzenia zmieniają w święta i przekształcają w legendę.

Takimi były Olimpiady, uroczystości panatenajskie, misterja eleuzyjskie. Tu historia, rozsadzana siłą duszy, przechodziła w mit. Takim było święto Paschy u Hebrejów, na pamiątkę wydobywania się z niewoli i przymierza z ideą boską, dzień uroczysty, kiedy każdy mieszkaniec Judei otwierał wieczorem na oścież drzwi swego domu, na znak oczekiwania Zbawiciela.

Tylko te głosy będą wołać w naród głosem żywym, które przeszły w symbol i legendę. Kto widział, jak na rozwahany obłoku mgły rannej pod Krakowem unosi się i płynąć zda się samotny szczyt od wschodzącego słońca szczerwieniony, kto ten wulkan, całą ziemią naszą wstrząsający, tę wyniosłą mogiłę Kościuszki ujrzał raz w jej potężnym, z przyrodą zbratany uroku, ten pojmie, o co tu chodzi.

Tak ukształcona i podana historia naszego narodu, a nie rezonujący inwentarz wypadków, może być twórczynią kultury — jako pamięć wielka i żywa, stojąca na straży tych wydarzeń, kiedy świę-

tość w duchu narodowym była objawioną, zagrożoną, albo znieważoną. Wielu miał poległych rok 63-ci, a jednak dzień Pięciu poległych przeszedł do pamięci pokoleń dla tego właśnie powodu — i podania ustne obwijają się wokoło niego. Przypomnijmy tego młodzieńca, co podbiegłszy do pierwszej ofiary, ukląkł, umaczał dwa palce w jej krwi, i tą krwią uczynił na sobie krzyż. On tym znakiem czerwonym wypisał na sobie historję onego dnia. Tak to wydarzenie narodowe, o ile świętość przemówi zeń, zostaje przez duszę poślubione jako osobiste przeżycie religijne.

Naród, który stanie na wysokości natchnień swoich synów naczelných, staje się narodem wielkim — a dziś tylko przez taką wielkość prowadzi droga do Polski. Jest to wychowanie przez wzory. Jest to obcowanie z bohaterstwem i wielką myślą twórczą w narodzie. Jest to droga zarazem i do obcowania między sobą, — bo ludzie łączyć się mogą (w naszym położeniu) tylko przez coś wyższego, co jest ponad nimi, co ich łączy. I cokolwiek ma być w życiu poczęte, — od założenia prostej wiejskiej ochrony poczynając, a skończywszy na przysiędze na sztandar, — niechże będzie w tym duchu poczęte. Jest to droga do człowieczeństwa w kulturze.

Takiem wydarzeniem w przeszłości, które ma dotąd siłę tworzywa kultury, była unja ludów Rzeczypospolitej, sojusz obronny na podstawie zachodniej kultury chrześcijańskiej. Wyrosła z duszy narodu, jest historją tej duszy w jej wzlotach i w jej upadkach; a jako taka trwa po dziś, i mieści w sobie ziarna usiewne na przyszłość.

Takiem wydarzeniem w przeszłości, które jest two-

rywem po dziś, było zbudowanie społeczeństwa nie pod grozą gniewu i strachu, gdzie piorun władzy popędza struchlałą i w tresurze ujarzmioną wolę, ale gdzie ojczyzna schodzi z tronu, i z duszy każdego syna ziemi swojej tron sobie czyni.

Takiem dalej wydarzeniem twórczem w przeszłości była tolerancja religijna, zjazd miłościwy w Toruniu, — sprawy oparte na wyższej inteligencji moralnej, na dążeniu do doskonałej formy współżycia. Ten to instynkt w kulturze naszej doprowadził nas, na drodze doli i niedoli, do zagadnienia, którem żyje i oddycha każde głębsze poczynanie w zakresie myśli i czynu: do zagadnienia odrodzenia.

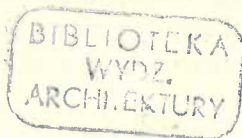
Jak reformacja była dziełem, które stanęło przed sumieniem Niemiec, tak odrodzenie jest tym czynem, który stoi przed sumieniem naszym. Ktoby chciał duszę piśmiennictwa polskiego ująć w jednym słowie — tem słowem byłoby odrodzenie. Jeżeli gdzie duch polski dotknął swojego przeznaczenia, jeżeli gdzie sprawa polska postawiona była w całej powadze, to tu właśnie.

Długo, za długo stosunek nasz do Słowa w narodzie, był tylko jedną z form tego rozbicia, w jakim wyrosły dwa ostatnie pokolenia w Polsce. Miano je również za głupią i szaloną dziewczkę — i nic więcej. Zapomniano, że na człowieka składa się i miłość i poznanie — i że to drugie winno wypływać z pierwszego. Poznanie bezmiłosne czemże jest? — Jest poznaniem czysto zwierzęcem i prowadzi do potęgi zwierzęcej.

Przy tak pojętej istocie poznania sprawa wykreślenia dróg do kultury stanie prosto. Zamiast wzajemnego

zwalczania się sił umysłowych, moralnych i duchowych, zamiast pracy nad zubożeniem i podkopaniem religijnej podstawy życia, — prowadzić będzie można w dalszym ciągu rozległą i na długo zakreśloną budowę Zamku i Świątyni w narodzie. Bo dzielność w czynie broni świętości w duchu; — a świętość w duchu budzi moc dzielności w czynie. I z obu naród wytwarza wiarę w siebie. Obie organizują jego wolę.

Tę wiarę zbudować w sobie żywą i działającą — a potem budzić ją w innych, i prowadzić do działania na codzień — takiego zadania jąc się winien wielki zakon wychowania w narodzie.



20-

